

## Pastor

Zamykali się w swoim domu jak w twierdzy. Przed czwartą spadał na miasto mrok, potem ciemność przesycona wilgocią i chłodem przejmującym do szpiku kości. Mróz siarczysty nadchodził przed nocą, a wiatr, jego kompan, ścigał zapóźnionych przechodniów zapamiętałe. Kilka razy, jeszcze w listopadzie, spadł śnieg, śnieżek prawie, ale leżał krótko. Zima śnieżna miała się dopiero pojawić. Czekwały na nią dzieci i sanki. Piec popołudniem wypełniały płomienie, a mimo to o świcie w pokojach było zimno, zaś w sieni i korytarzach z ust unosiła się para zupełnie tak, jakby się wyszło na dwór. Nieszczelne okna – mówił pastor Fidalcke, lokator plebanii. Nieszczelne okna przyjmował nie jako wyzwanie, lecz dopust Boży. Taki miał charakter. Pastor Jan Fidalcke od kościoła św. Bartłomieja pracował w swojej bibliotece do późna w nocy. Tracąc wzrok, starał się przeczytać – zanim odejdzie na tamtą stronę – każdą z dziesięciu tysięcy pięciuset zgromadzonych w jego bibliotece książek. Wiedział oczywiście, że zadanie przekracza jego możliwości, ale nie tracił nadziei. Z powodu książek marzył o długowieczności, a nawet nieśmiertelności. Nie miał dzieci, więc nie rozpraszał go cudowny gwar dziecięcych zabaw, koncerty śmiechu. Żona, Anna Regina, odzywała się mało, była jak jego cień, nawet gdy stała w pobliżu, można było sądzić, że nikogo nie ma. Ubrana w szarą lub czarną suknię bez ozdób, obdarzona przez naturę bladą cerą i niebieskimi jak Bałtyckie Morze zimą oczyma, z wąłym uśmiechem na ustach poruszała się z nadzwyczajną delikatnością. Odgłos jej kroków przypominał Janowi szelest przekładanych powoli cieniutkich, pergaminowych kart. Za sprawą Anny na biurku pojawiał się brulion albo herbatka miętowa, wyrastały świece na świeczniku, ubrania oczekiwały, dom istniał. Pozbawieni potomstwa, wciąż na wieki wieków bogobojni, milczeniem pokrywali pytania, które cierniem tkwiły w ich sercach. Wszystkie zaczynały się od słowa – dlaczego?

Jan był wszechstronnie wykształconym człowiekiem. Po studiach teologicznych w Rostocku i Lipsku powrócił do Gdańska i przez jakiś czas prowadził katedrę języków orientalnych w Gimnazjum Akademickim. Potem pożegnał się z uczelnią i na dobre osiadł na plebanii przy kościele św. Bartłomieja na Starym Mieście. Zajął się lekturą. Bo czyż może być coś słodsze? Odzyskał wolność. Wieniec świętego spokoju, który zawsze stanowił przedmiot najcichszych, najtajniejszych westchnień kaznodziei, spoczął na jego skroniach. Czytać, czytać, czytać – powtarzał jak magiczne zaklęcie i nie mógł wprost uwierzyć, że coś tak szczęśliwego stało się jego udziałem. Po domu, w którym mieszkał wraz z żoną, w zaułku przy samym kościele, krążyły szepty, urywki zdań po łacinie, całe wersy wtopiły się w tapety

pokrywające ściany. Żyli tu ongiś dwaj pastorowie-poeci, Achacy Cureus i Michał Retell, a dom jak pies pozostał wierny swym panom, mimo że odeszli, i jak papuga powtarzał od czasu do czasu ulubione fragmenty, płynne dźwięki wiązanej mowy, nuty czarodziejskie. Dom stał się zaklęty. Zamieszkała w nim tajemnica. Bogate wnętrze – pomyślał Jan po raz pierwszy przekraczając próg skromnego pokoju, który wybrał na pomieszczenie dla biblioteki. Zaraz też przypomniał sobie cytaty z Talmudu, który podkreślał, że nie trzeba wychodzić z pokoju, aby rozwikłać tajemnice Wszechświata. Prawa są proste i działają wszędzie. Będąc kupieckim synem, Jan Fidalcke w specyficzny sposób podchodził do wielu spraw teologicznych, wiele myśli i rozwiązań zapożyczając od sławnych rabinów – mistycznych specjalistów od ekonomii zbawienia – siebie, rodziny, narodu, ziemi i kosmosu. Wszystko ze wszystkim było powiązane, nic nie zdarzało się przypadkiem. Bóg po kupiecku zdawał się prowadzić swój interes. Wiadomo było, że czym i ile płacisz, tyle dostajesz. Cuda zdarzają się, ale nie na zamówienie, Sefiroty tańczyły pośród snów pastora, w centrum jego świata, jak tańczyli derwisze, wirując w pałacach sułtanów.

Zwłaszcza kabała pełna wieloznacznych odczytań, alegoryczna i metafizyczna zarazem, pochłaniała długie zimowe i krótkie letnie noce pastora. Każda litera języka hebrajskiego miała swój liczbowy odpowiednik, każde słowo posiadało symboliczny sens, wartość wynikającą z kontekstu, podobieństwa do innego słowa, a także stanowiło sumę poszczególnych liter – co było niezwykle przydatne przy odczytywaniu jakże licznych w Starym Testamencie zapowiedzi prorockich. W głowie mogło się zakręcić od ogromu możliwości. Cudowne doprawdy uczucie. Zauroczenie. Stanie na progu tajemnicy – notował w swoim pamiętniku pastor.

Jan swobodnie czytał po grecku, łacinie i hebrajsku, znał polski. Wszystkie pieniądze, tak zwane Taschen Geld, przeznaczał od dziecka na zakupy książek, był stałym klientem w księgarniach, w antykwariatach nie tylko Gdańsk miał swoją półeczkę, uczestniczył w aukcjach, rzadziej w wymianach. Biblioteka stanowiła serce jego domu, a właściwie nie tyle serce, co duszę. Dobierał dzieła starannie, kompletując poszczególne, interesujące go działy, filozofię, religioznawstwo. Szeroko pojęty humanizm stanowił jego ojczyznę. Miał w swoim zbiorze wiele rzadkich okazów, średniowieczne inkunabuły, cenne, ręcznie malowane zielniki, dykcjonarze, atlasy, unikalne wydania Talmudu i Biblii. Oczkiem w głowie pana domu był zbiór judaików, zajmował piec ogromnych szaf wysokich aż pod sufit. Z obawy przed zawaleniem się podłogi bibliotecznej stolarz Fritz przygotował podpory dębowe, które sprytnie umieszczono piętro niżej w korytarzyku prowadzącym na zaplecze

plebanii. Słupów było dwanaście, dokładnie tyle, ilu Apostołów. Pastor śmiał się – ciekawe, który okaże się Judaszem?

– Żaden – zapewniał Fritz. Belki wytrzymają do końca świata.

Jan był człowiekiem skromnym, starał się trzymać na uboczu, nie rzucać się w oczy, nie prowokować losu. Cisza, jaka panowała na plebanii przy kościele św. Bartłomieja, stała się wśród byłych kolegów Jana z palestry, w dalszym ciągu wykładających w Gimnazjum Akademickim, prawie przysłowiowa – Cisza jak u Fidalcków.

Książki pastor ukrywał przed pożądanym okiem gości, pożyczał niezwykle rzadko, tylko niektóre, na krótko i w zasadzie tylko dwu zaufanym osobom: Michałowi Krzysztofowi Hanowowi i Ernestowi Berlingowi. Pierwszy był profesorem prawa i historii, drugi profesorem matematyki. Oni też od czasu do czasu odwiedzali pastora i jego żonę, rozmawiali, pijąc kawę z mlekiem. Za ich sprawą, z ich przyczyny, książki opatrzone ekslibrisem „sowie oko” odlatywały na jakiś czas do obcych. Dla pastora nadchodził mroczny czas wyczekiwania ich powrotu, tęsknoty prawie ojcowskiej. Pastor myślał o nich bez przerwy, udając przed żoną, że nie myśli, martwił się, starając się być beztróskim, złościł w duchu, na pozór będąc zadowolonym. Modlił się więcej i w napięciu, podobnie jak pisał swoje lingwistyczne komentarze do pism żydowskich uczonych. Kiedy książki wracały, przytulał je, obnosił i szeptem, gdy nikt nie słyszał, wyznawał, obiecywał, zaklinał się, że nigdy, ale to nigdy nie pożyczy nikomu, że schowa, że w razie czego skłamię, mówiąc: „już pożyczyłem” albo „zgubiłem”, albo „nie mogę znaleźć”. Trudno – grzech lepszy jest niż rozstanie.

Pamiętał doskonale, że ktoś kiedyś nie oddał mu pożyczonej książki. Ta strata wciąż go bolała, wciąż żył w żałobie po tamtej, utraconej książce. Pamiętał jej tytuł, kształt, zapach, rodzaj czcionki, wydawcę, mimo że od tamtego dnia upłynęło siedemnaście lat.

Grudzień-przechodzień wpadł właśnie do miasta i miał zamiar narobić trochę zamieszania w kupieckim, raczej nudnym Gdańsku roku 1762. Był utalentowany, prawie geniusz i wystrojony, prawdziwie świąteczny. Od kiedy karoca przywiozła go z Petersburga szóstką koni szybkich jak wicher, przez most i Wyżynną Bramę, sypnął śnieg, ten, na który czekały dzieci, złapał mróz porządny, przy którym ten poprzedni, z końca listopada, wypadł jak podszczyrywacz, całkiem niepoważnie. Wszyscy zaraz, naraz zaczęli myśleć o świętach, mówić o świętach, mówić i przygotowywać się. Zima – od lat, wieków kochanka grudnia, tego roku zapowiadała uroczyste bale – tak mówili ci, co się na pogodzie znali – koncerty kameralne, fajerwerki. Zima tego roku zamierzała być piękna. Kiedy pastor Fidalcke wracał pewnego dnia z wizyty od parafian do swojej twierdzy przy zaułku św. Bartłomieja zakłuło

go serce, jakby kto nóż wraził mu w pierś, przesywając ciało na wylot. Było ciemno, stanął, otwierając usta, tuż przed wejściem na cmentarz przykościelny. Oddychał głęboko. Śnieg wesoło tańczył w powietrzu, dwoje zakochanych na rogu ulicy wymieniało uściski.

Grudzień. To już chyba grudzień – zastanawiał się Jan Fidalcke. Wczoraj był 29 czy 30 listopada? Nie potrafił sobie przypomnieć. W domu postanowił upewnić się. Spyta żony. Anna Regina zawsze wie wszystko, co potrzeba. On tego, co trzeba, nie wie nigdy. Nie wie nawet, czy jeszcze jest listopad, czy już jest grudzień. Gdyby teraz umarł, nie wiedziałby nawet, kiedy umarł. W domu przestało go boleć w boku, ale coś się zaczęło dziać z gardłem. To dopiero – powiedział. Żona zrobiła mu herbatkę z kieliszeczkiem wódki. Krzywiąc się, wypił. Przyjął także syrop – dwie stołowe łyżki. Kolacji jadł mało i położył się wcześniej. Rosła mu temperatura. Do poduszki poczytał trochę renesansowej poezji. Nic bowiem tak nie uspokaja, jak cudowna kąpiel w słowach o odpowiedniej dla nastroju temperaturze.

Pastor zasnął. Obudził się nagle. Nie miał pojęcia, ile mógł spać, godziny czy też minuty. Wciąż było ciemno. Poczł chłód, spojrzł w górę i zamarł. Nad nim, zamiast dachu, spoczywało niebo ciężkie, znacznie cięższe od sufitu. Ołowiane chmury, przynoszące śnieg, poruszały się szybko, popędzane wiatrem tak silnym, że niepodobna. Ktoś się musiał powiesić – mówią tutejsi – Kaszubi – słysząc taki wiatr. Drzewa cmentarne i ich siostrzyce rosnące przy plebanii kurzymi palcami zmarzłych gałęzi dotykały czerwonego muru, zgarniały, zgarniały do siebie, lecz nic zgarnąć nie potrafiły – zbyt daleko, zbyt słabo się rozrosły, strzelając w górę, biorąc za przewodniczkę kościelną wieżę. Pastor, czując, że gorączka uderza mu do głowy, wołał na żonę, mocno trzymając pierzynę, która nagle stała się lekka i gdyby nie mocny uścisk dłoni, poleciałaby w nieznane. Co się dzieje, co się dzieje – powtarzał przerażony kaznodzieja. Chudymi nogami w samych kalesonach usiłował przygnieść zbierającą się do odlotu. I wtedy ujrzał swoje książki. Książki, co nagle i bez powodu zamieniły się w ptaki. Czarne i białe kruki. Widok był zatrważający, krakanie donośne. Wszelkie zabiegi, aby je powstrzymać – daremne. Nie reagowały na słowa ani na gesty. Po kolei dzieła najwybitniejszych europejskich oficyn dostawały skrzydeł i fru – ulatywały. Skrzydlaty Hus, Luter, Kalwin. Epika grecka jak spłoszone stado gołębi z Długiego Targu zerwała się na raz, dwa, trzy i już jej nie było. Żydzi, wiadomo – tułacze – nie marnowali czasu, zwinęli się na komendę. Do Jerozolimy! – biały kruk amsterdamskiego wydania Talmudu wskazał drogę. Pomodlili się śpiesznie i tyle ich było widać. Kiedy odlatywała orientalistyka – tom po tomie wszystkie Baśnie z Tysiąca i Jednej nocy, Aladyn, Szeherazada, Sindbad i Ali Baba, oczywiście w asyście czterdziestu rozbójników – pastorowi zdawało się, że słyszy dźwięk janczarskich piszczałek i bębnów, chrapliwe ryki wielbłądów.

Książki opuszczały go, a on, w bezruchu, ze łzami w oczach, mógł tylko spod pierzyny przyglądać się temu i mówić, mówić bez końca, nie wierząc własnym oczom – Dlaczego?

Obudziła go dobra, łaskawa dłoń Anny.

– Co się stało? – spytał, z ulgą dostrzegając, że sufit, książki, obrazy, ściany, wszystko jest na swoim miejscu.

– Krzyczałeś – wyjaśniła. – Coś ci się złego śniło.

– Tak – potwierdził. – Miałem bardzo zły sen – odparł.

Anna zmoczyła w miseczce z wodą lniany ręcznik, wyżeła go i delikatnie położyła na czole chorego.

– To gorączka. Przeziębłeś się. Tyle razy ci mówiłam, byś uważał na siebie.

– Będę uważał – zapewniał Jan, nie mówił jednak o sobie, lecz o bibliotece.

Sen zrobił na nim duże wrażenie. Po odleżeniu tygodnia w ciepłym łóżku, kiedy wrócił do zwykłych obowiązków pastora, często w kazaniach odwoływał się do sennej wizji, oczywiście odpowiednio ją zmieniając, nadając akcenty szczególnie słowom „osamotnienie”, „opuszczenie”, „odejście”. Motyw znikomości naszych trudów i w ogóle życia powracał jak refren. Kohelet ze swoim „Marność nad marnościami i wszystko marność” spadał z ambony na głowy słuchaczy i drążył mózg kaznodziei, który z tego powodu stracił wiele uśmiechów przedwcześnie zgasłych, wiele ujmującej beztroski. Jakby na przekór przekonaniu o marności, Jan bez przerwy sprawdzał dwunastu Apostołów, fundament swojego świata, przyglądał się im bacznie, czujnie wypytywał okiem uzbrojonym i nieuzbrojonym w szkiełko: „Jest kornik, czy nie ma?”, „Pęka, czy nie pęka?” Najwierniejsze książki podejrzewał o ukrywanie w swoim wnętrzu, pod grzbietem, złośliwego, zielonkawo-białego grzyba z tych, co to pożerają pół biblioteki w pół roku. Wilgoć w porze roztopiających się śniegów spędzała mu sen z powiek. W takich chwilach obiecywał sobie solennie zlecić reperację dachu plebanii we wszystkich miejscach, które Fritz uzna za szczególnie niebezpieczne. Wilgoć to podstępny wróg, cichy, działający skutecznie i bez skrupułów. Straty, jakie wyrządza, są ogromne, rany, jakie zadaje, mimo leczenia, nie goją się najczęściej, a jedynie pozwalają się zaleczyć. Najgroźniejszym jednak przeciwnikiem, potężnym wśród potężnych, był ogień. Gospościa zazwyczaj, a niekiedy Anna Regina zajmowały się rozpalaniem w piecach. W kuchni płomień pod żelazną płytą żarzył ślepią drapieżnie. Jan bez przerwy musiał mieć na niego oko. Sen mógł być proroczy. Książki ulatujące w przestrzeń to nic innego tylko zapowiedź niebezpieczeństwa, ostrzeżenie przed pożarem. Ogień, dym, popiół – recytował, patrząc na równiutko poustawiane, grzbiet przy grzbiecie, poszeregowane, przetarte miotełką do kurzu, książki. Jan więcej jeszcze czasu niż przedtem spędzał w domu, rezygnował, o ile mógł,

z przechadzek i wizyt u znajomych. Stał się niespokojny, nerwowy. Widząc kruki albo wrony spacerujące po śniegu, odwracał głowę, słysząc ich krakanie, zatykał uszy. Anna Regina załamywała ręce. Trwało to wszystko dobry miesiąc albo i dłużej. Pastor bardzo liczył na wiosnę i interesującą lekturę, wiosnę, bo wiosną świat staje się pogodny i po ptakach zimowych następują ptaki letnie, lekturę, bo sądził, że coś niebywale zajmującego będzie w stanie przyciągnąć go do siebie tak mocno, że zapomni o reszcie świata. Niestety, wszystko, do czego się zabierał, nudziło go, wydawało się wtórne, płytkie lub dla odmiany przesadnie zawile. Mój Boże – westchnął któregoś razu – ile to książek napisano o Cesarstwie Rzymskim, ile się jeszcze napisze. Kiedyś bardzo pragnął wydać swoje rozprawy, krążące wśród studentów Gimnazjum Akademickiego w rękopisach. Któż nie chce pozostawić po sobie śladu? Z czasem przestało mu na tym tak bardzo zależeć.

Po co? Zadał sobie i teraz to pytanie. Zrobiło mu się smutno, bo pomyślał, że tak niewiele ma do przekazania potomnym, chociaż z pozoru tyle wie, tyle przeczytał. Całe jego życie było wypełnione nauką, poznawaniem. Jego książka, jeszcze jedna książka, niepotrzebna książka.

Odwrócił się plecami do biblioteki i wyszedł.

Kiedy Śmierć przyszła po Jana Fidalcke, najpierw zapukała do kościoła św. Bartłomieja, najpierw spacerowała po cmentarzyku przy kościele, sprawdzając, czy aby nie leży już gdzieś tu czy tam pod brzošką, pastor, po którego przyszła. Śmierć nie chciała się wygłupić, a z pamięcią ostatnio było u niej gorzej. Przeszła środkiem kościoła, zajrzała do zakrystii, przystanęła przy ambonie. Zaszła na plebanię, ale i tu pastora nie było. Sprawdzała na parterze i na piętrze, i na stryszku, prawie cały dom. Zdziwiła się. W bibliotece – pusto. O ile sobie przypominała, pastor lubił książki. Zresztą, czy inaczej miałby taką bibliotekę? Imponująca – oceniła. Trzeba nie tylko lubić, trzeba kochać książki, aby zebrać ich tyle. Cenny zbiór. Zapobiegliwość ludzka, zbieractwo, oszczędzanie zawsze robiło na Śmierci dziwne wrażenie, wywoływało rzadki uśmiech na jej raczej bladych wargach. Po co? – zadawała sobie nieraz to samo, powracające pytanie. Śmierć w żadnym razie nie ulegała wzruszeniom. Przyszła, więc nie zamierzała odejść z pustymi rękoma. Nie ma pastora. To nic. Poczekam – pomyślała i tak zrobiła. Usiadła przy biurku, spojrzała na rozłożony foliał. „Niebo” – poznała po przeczytaniu wersu. Zamknęła książkę. Na okładce tłoczonymi literami pociągniętymi srebrem przedstawiał się autor – Dante Alighieri. Śmierć znała Dantego, Dante poznał Śmierć.



Brązy i żółcie, spłowiałe biele, szarości, kurz, który zdawał się złoty – patrzyła Śmierć na kolory biblioteki. Nuciała pieśń „Indarknesse let mee Dell” Johna Dowlanda. Cierpliwa była, gdy Jan na zapleczu domu, w ukryciu nieświadomym, w podwórzu, na ławeczce, nie spodziewając się niczyjej wizyty, drzemał, grzejąc kości na przedwiosennym słońku. Nic nie robił od kilku dni, nic ponad to, co trzeba było; błogie lenistwo cieszyło go, słyszał żonę w kuchni. Gosposia minęła go ze cztery razy z pustym wiadrem, na targ i z targu. Jan rozkoszował się. Postanowił siedzieć na ławeczce tak długo, jak będzie można, nie zakreślał granic, choćby do końca świata. Miał 60 lat. Był rok 1763.

Po śmierci pastora Fidalcke jego wielka biblioteka uległa rozproszeniu. Tak często bywa. Przyjaciele: Michał Krzysztof Hanow i Ernest Berling starali się cenny zbiór przekazać Bibliotece Rady Miejskiej. Niestety, ta nie znalazła odpowiednich funduszy. Książki rozleciały się jak ptaki ze snu. Widać pisany był im los tułaczy. Wyleciały z klatki. Dziesięć i pół tysiąca, każda obdarzona sowim okiem ekslibrisu, żeby widzieć w ciemności. Poruszały szerokimi skrzydłami, podczas pełni krążyły przy wieżach kościołów Bartłomieja, Jakuba, Brygidy i Katarzynki. Często jesienią mylono je z odlatującymi albo przylatującymi ptakami. Widziano je tu, widziano je tam. Aby je sprzedać, zorganizowano cztery aukcje. Katalog aukcji stał się jedyną mapą po lądzie, co nie zatonał, lecz uleciał, kolejnym zapisem historii wiecznego człowieczego trudu zbierania i bólu rozproszenia. Kiedy pastor ostatnio widział Boga, Bóg miał ten katalog w rękach, przyglądał się mu bacznie. – Niezły zbiór – powiedział, a potem zaprowadził Jana do swojej biblioteki. Rozmawiali po hebrajsku.